









Dr. EDWARD HIRSCHSPRUNG

# ŁZY ULICZKI

SZKICE DRAMATYCZNE i NOWELE

L W Ó W

NAKŁADEM KSIĘGARNI NOWOŚCI  
Z DRUKARNI IGN. JAEGERA, LWÓW.

1919.

<http://rcin.org.pl>

Dr. EDWARD HIRSCHSPRUNG

# ŁZY ULICZKI

SZKICE DRAMATYCZNE i NOWELE

INSTYTUT  
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-500 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-83

L W Ó W  
NAKŁADEM KSIĘGARNI NOWOŚCI  
Z DRUKARNI IGN. JAEGERA, LWÓW.

1919.



<http://rcin.org.pl>



---

---

Prawo wystawienia utworów scenicznych zastrzeżone.

---

---

22.028



NOWELE :

GŁUPI SRUL

HEFAJST

MÓJ SZIMEL

SZKICE DRAMATYCZNE:

MOLOCH

BUDA

SIOSTRY.



# GLUPI SRUL.



To było południe, słońce paliło mocno a zeschłe liście czekały deszczu.

Srul stał oparty o ścianę walącego się domu i zajadał czereśnie.

Ruda rozczochrana czupryna spadała mu na piegowatą twarz, w której się małe, bez wyrazu oczy świeciły. Koło ust zwisał jakiś smutny, niewyraźny uśmiech.

Z łachmanów, co się tylko w strzępach trzymały, wyczierała wązka zapadła pierś.

Wysunął się zwolna z brudnej uliczki na plac, gdzie się dzieci bawiły. Ledwo się pokazał a już go gromadka obskoczyła i wśród krzyku i śmiechu szarpać i trącać go poczęła.

Srul się ciągle uśmiechał.

Ale czasem i jęknął boleśnie, bo chłopcy prętami go okładali, bo go bili i tręcili. Żarty stawały się dla biednego Srula coraz przykrzejsze.

Chciał się uwolnić; rozglądął się . . . zewsząd był otoczony. Pchnął wreszcie jakąś dziewczynkę i tędy wydostał się z otoczenia... Już biegł... gromadka tuż za nim. Srul pędził ile mu sił starczyło, nagle zachwiał się i padł jak długi na ziemię.

Jakiś łobuz mu nogę podstawił.

Hałastra zawyła z radości.

Biedak podniósł się, popatrzył na otarte do krwi kolana. Schował twarz w łokieć a stłumione łkanie wstrząsało wątlęciem ciałem.

Czy chłopców majestat łez unieśmielił, czy rany wyglądające z łachmanów?

Rozeszli się...

Jedno drugiemu coś na ucho szeptało.

— — — — —

Dzieci się znowu na placu bawiły...

Nie trwało długo a Srul się do nich zbliżał; wiózł matkę swą . . . kalekę.

— Macie Sruła, macie go tam, prowadzi matkę — wołali śmiełsi. Nie odważyli się jednak przystąpić do nich. Srul jakby pewny siebie odważnie i wyzywająco uśmiechał się do nich.

— Żydku! nos twój długi, zgubisz go żydku głupi — krzyczał jeden i równocześnie cisnął grudkę ziemi. Przykład podziałał, młodzi bohaterzy poczęli

rzucić kamienie w stronę Srula i kaleki. Syn zasłonił matkę, broniąc jej przed pociskami słabą piersią.

Za każdym uderzeniem wyrywał mu się jakiś grymaśny jęk — No... no...

Henek, zuchwały malec, podstąpił bliżej i kamieniem trafił staruszkę w głowę.

Srul się oglądnał...

Na skroniach matki sączyła się powoli krew. Wybełkotał coś niewyraźnie. Nie trwało chwili a już miał Henka w swych rękach. Chwytał go suchymi palcami za gardło a zębami wpił się w jego czaszkę. Twarz jego stała się nagle zielona, a oczy z niej omal nie wyskoczyły. Dzieci podniosły wściekły krzyk, kilku starszych chłopców zaczęło go szarpać i bić...

On już tego nie czuł, coraz głębiej tylko wtapiał zęby swe i palce.

Na krzyk dzieci, zbiegli się zewsząd ludzie. Przyskoczyli do Srula i siłą starali się uwolnić Henka; nie szło.

Niektórzy zaczęli z całej siły bić, kasać, kłuć..

Srul padł na ziemię ofiary nie puszczał. Krzyk rósł.

— Żydziak psia krew, zwierz, morduje dziecko, zabija dziecko.

Srul już ani tych razów nie czuł, ani głosów

nie słyszał, twarz jego zsiniała, a oczy zabiegły krwią.

Henka wreszcie uwolniono.

A teraz poczęła się zemsta.

Rozbestwione kobiety, małe dzieci, stąpały po Srule, jak po miękkiej ziemi, ciężkie kamienie przygniatały mu żebra, palami uderzano w głowę.

Nikt nie przeszedł obok, by go nie kopnąć.

Jakiś młody człowiek obwiązał rzemieniem mu nogę i włókł go za sobą.

— Do wójta, do wójta — krzyczeli jedni.

— Do stawu, odrazu — inni.

Głupi Srul i tego nie słyszał i katowań już nie czuł. Matka ... kaleka coś wołała... wołała, głos jej gdzieś poszedł z wiatrem i tylko krew powoli ze skroni jej spływała.

To było południe, słońce paliło mocno a zeschnięte liście czekały deszczu.



HEFAJST.



Szloma wybierał się dziś na tańce.

Już wszystkim sąsiadom doniosła matka, że jej syn „akademik“ idzie na bal... Tak jest, idzie na bal do bogatych państwa, choć jego ojciec tylko szkolnikiem.

Od wczoraj już leżała na komodzie biała koszula, którą matka sama długo, długo prasowała, trzewiki synowi czyściła, nowe trzewiki, bo jej syn musi wyglądać jak książkę, musi być najładniejszy.

Ej, coby to był za piękny chłopiec gdyby nie ten „błąd.“

Jej syn kulał.

Szloma wszedł właśnie do pokoju i zastał swą matkę smutną.

— Tak się mama cieszy, na mój pierwszy bal? Staruszka poczęła się dobrodusznie uśmiechać.

— Mamo, syn twój paradować dziś będzie we fraku, pożyczył mi go Franek, a więc ubiorę po raz pierwszy frak.

— Moje serce, może to nie modne?...

— Ależ mammo...

— Bo widzisz, moje dziecko, ty musisz być elegancki, śliczny, by ci państwo tam...

— Ale naturalnie najśliczniejszy — zakończył z ironią... — Widzisz mammo, tak wygląda frak... o... z tymi ogonami.

— A! Jakie to ładne, jakie ładne — zachwycała się matka.

Szloma począł się gorączkowo ubierać. Cieszył się na te tańce, tam miał zobaczyć ją i dłużej z nią mówić. Cieszył się i bał. W tych kołach nie czuł się sobą, jakiś chłód wiał od tych ludzi. Oni jacyś inni...

I tu przypomniał sobie wieczory u Franka.

Siedział w pokoiku gdzie go uczył i stamtąd przez ledwie odchylone drzwi przypatrywał się zabawie. Nie śmiał się z nimi bawić, to nie jego znajomi, zresztą nie miał ładnego munduru. A kiedy mu go Franek pożyczył, brakło mu znowu odwagi, wejść, a chciał, chciał, tam było tak ładnie, tak ładnie. Raz nawet już odchylił drzwi, ale serce zaczęło silnie bić... cofnął się i zasiadł do niewykończonego zadania.

Przyniósł mu wtedy uczeń jego łakocie, które wstydliwie zjadał; a tam ona się śmiała, tak pięknie śmiała.

— E, teraz co innego: akademik. Muszę z nią mówić — te słowa wyrzekł prawie głośno, gdy wdziewał biały krawat.

— Gdyby nie był kaleką — śniła wciąż matka. Szloma włożył frak; matka go nie poznała — królewicz — wrzasnęła, — królewicz, jakiś ty biały, świeży; panicz, panicz! — wykrzykiwała.

W istocie wyglądał dobrze, nałożył białe rękawiczki i patrzył w lustro.

— Nie powstydzę się — pomyślał i przeszedł się po pokoju. Po pierwszym kroku jakiś ból zarył czoło, a oczy pokazały łzy.

— Czemu ja matko, kuleję? — skarżył się Szloma.

— — — — —

Na lekkich falach podnoszącego walca posuwały się pary melancholijnie. Toalety zlewały się niepokaznie w kompleks kolorów, jak gdyby kobierzec stubarwny kołysał się wśród jasnych światłał.

Szloma stał sam oparty o drzwi, był blady, na policzkach wystąpiły dwie niesymetryczne, czerwone plamy.

Tylu światłał jeszcze w życiu nie widział.

Kłaniał się, niektórych przecież znał; jak oni

dziś wyglądają .. jacy oni inni. Co za przepych co, za wyuzdany przepych.

Stał pod wrażeniem tak silnem, że nawet nie szukał tej, dla której przyszedł. W głowie mu się kręciło, a krew w mózg uderzała.

Ciekawie gapił się dokoła. W dużem zwierciadle ujrzał jakiegoś brzydkiego chłopca. Szukał go obok siebie; brzydki chłopiec w zwierciadle, wykonywał te same ruchy...

Boże! więc to on ... Jaki brzydki!!

Frak jego był szeroki, niezgrabny, krawat niezręcznie przypięty, rękawiczki duże, a tu u innych wszystko takie ładne, obcisłe, zgrabne...

Zobaczył swą nogę o dużym bucie, przeraził się — karykatura! — szepnął.

Chciał uciekać.

I nagle na tle jasności zobaczył ją i zaraz zapomniał o niezgrabnym fraku, dużych rękawiczkach o swej brzydkiej, biednej nodze i widział znowu tylko ją.

Tańczyła...

Uklonił się raz, drugi... nie zauważyła, trzeci...! ledwo odpowiedziała.

— To pewnie w salonie nie wypada inaczej — pomyślał.

Zośka Szłomy nie cierpiała.

Brzydził ją ten chory wyraz twarzy u niego, ta uległość, to zginanie, imię no i ta noga, ta noga!

Zośka tańczyła.

Była więcej niż piękna, wpatrywał się w nią jak w obraz. Teraz tańczy blisko niego z Frankiem... mówi coś... pochwycił jej słowa... Aaaa...

— Hefajst.

Tak przezywali go źli chłopcy w szkole... i znowu zobaczył się w dużym zwierciadle i swoją brzydką, biedną nogę...

Chyba jego nie myślała — uspokajał sam siebie — nie, nie — opędzał tę myśl, jak przykrą muchę.

Jakoś przypadkiem stanęła Zośka tuż obok.

— A! Pan Szloma.

Uklonił się.

— Dlaczego Pan nie tańczy?

— Nie umię, zresztą... nie... potrafiłbym.

— A tak ...przepraszam. — Jakiś danser ją znowu porwał.

Szloma stał nieporadny, dwie niesymetryczne plamy rozlały się po policzkach.

Siostra Franka wyręczyła go.

— Służ mi pan ramieniem, przejdziemy się do tamtego pokoju.

— Owszem.

Poszedł...

W głowie wrzało, — może mnie myślała, może mnie i w każdym szeleście sukien, dźwięku muzyki, szmerze szeptów, słyszał przezwisko z ław szkolnych... Hefajst.

Nagle uczuł rytm swego chodu za sobą. Prze-czuł coś złego...

Oglądnał się... podlotki wybuchnęły śmiechem. Za nim szła Zośka, chromając.

Szloma stanął, nogi mu poczęły drzeć, zbladł, pot zimny oblał mu twarz... zaśmiał się gorzko z dowcipu, może i nie zaśmiał... przetarł czoło i wyszedł. Stanął w dziedzińcu... Chłód nocy objął mu tętniące skronie. Przed oczyma przemknęło się widmo zajścia i zdawało mu się, że ktoś rozpalone żelazo o mózg jego chłodzi.

Oparł się o poręcz schodów, bo kolana się pod nim chwiały.

W marmurowej posadzce, co na dole od świateł lśniła, zobaczył siebie znowu. Wściekłość go porwała, zacisnął pięście, chciał się rzucić na tego gнома z poza szyby kamiennej, przechylił się...

Mózgiem o piękny marmur prysnął Szloma. Oszpecił go.

---

W salonie dalej się bawiono.



# MÓJ SZIMEL.





Leibe swego szimla kochał.

Nie dziw; od młodu go znał, z nim prawie że wyrósł, z nim przechodził wszystkie smutki i radości; zresztą kogo miał prócz niego; a dziś patrzeć będzie na jego stracenie.

— Poczekajcie, już wy za to, dostaniecie! Ukrywacie chorego konia i dotychczas nie zgłosiliście tego.

— Nie, nie wiedziałem... — bronił się Leibe.

— Tak... naturalnie, nie wiedzieliście, wy nigdy nie wiecie, gdy nie trzeba — złościł się pan weterynarz — konia się zastrzeli ... mięso na nim żywcem gnije.

Tu począł biedny Leibe kręcić w rękę kapelusza i przyspieszonym oddechem mówić.

— Ja powiem wszystko, panie weterynarzu, ja... ja zwierzę to kocham, jabym bez mego szimla żyć nie mógł, ja całkiem sam, ja jeden jestem ... nie mam nikogo prócz niego...

Weterynarz przypatrzył się Leibemu, u którego oczy świeciły łzami, żal mu się zrobiło biedaka.

— Ta można by mięso gnijące wyrzucić—mruknął po chwili, obejrzawszy konia — ale to kosztuje.

— Niech, niech kosztuje, wszystko dam.

— No i to nie takie pewne że pomoże.

Weterynarz obejrzał konia raz jeszcze i ranę dokładnie począł badać.

— No spróbujemy, o ile gnicie nie naruszyło kości może się coś da zrobić; przyjdziecie z nim jutro rano... No ale zastanówcie się, to będzie kosztować i bardzo wątpię czy pomoże.

— Tak... tak... już się zastanowiłem... musi pomódz... Bóg łaskaw... ja sam jestem... niech kosztuje, — majaczył już Leibe.

— Więc jutro rano, bo dziś już późno, już wieczór ... jutro rano.

Weterynarz odszedł.

Leibe prowadził swego szimla do domu, wpatrywał się w ranę z której kość wyglądała i czuł drgawki co przechodziły ciało biednego zwierza.

Wprowadził go do stajni. Owsa dziś jeść nie chciał. Leibe stał obok niego głaskał go i pieścił jak dziecko, koń mrużył tylko dobrotliwie swoje smutne oczy.

Całą noc przeleżał przy nim na słomie, słyszał

jak koń jego dyszał, rzucał się, czuł prawie jego bole. Czekał ranka jak zbawienia, pójdzie z nim do weterynarza, może przecież, może . . . wszak tak mówił sam pan weterynarz; żeby tylko nie kość...

Świtać zaczęło, przez szpary ścian stajni wnikło słońce i oświeciło ranę.

Jakaś wstrętna duża mucha stała w pośrodku; Leibe odpędził ją gwałtownie.

Szimel mrużył dobrotliwie oczy i patrzył cierpliwie.

— Wstań siwy mój, wstań biedaku, pocieriesz trochę a będzie lepiej, wstań... tak powoli, powoli — rozmawiał ze swoim szimlem. Koń jakby rozumiał, podniósł się i czekał co z nim pan zrobi.

Leibe zarzucił mu ramię na szyję i włókł do weterynarza.

Zastał go na podwórzu.

Weterynarz obejrzał konia ostrożnie, umył jakimś płynem ranę i coś mruknął... wszedł do izby i po jakimś czasie wrócił z torbą w ręku. Z nim szło trzech parobków, jeden z nich niósł sznur. Nie czekali długo, rubasznie przytrzymali konia za grzywę, obwiązali u dołu nogi powrozem i poczęli ściągać je do kupy; po chwili koń runął na ziemię, jęknął i wyprostował się.

Leibe był blady jak trup.

Pachołkowie trzymali konia a weterynarz przykląkł i jakimś narzędziem, które wyjął z torby począł szarpać z rany kawały mięsa i wrzucał je do obok stojącego naczynia.

Koń charczał, rżał, dyszał ciężko, chciał się ruszyć . . . pachołkowie silnie trzymali . . . Zwierzę spojrzało z wyrzutem na swego pana . . .

— Moj szimel, mój szimel.

Leibe uciekł, nie mógł na to patrzeć . . .

---

Koń ciągle niedomagał, nie chciał jeść, rzucał się w drgawkach i dyszał.

— Nie ma rady, musimy zastrzelić, nie idzie inaczej, zapalenie poszło dalej, to tak idzie dalej i dalej, zwierzę się strasznie męczy — tłumaczył weterynarz.

— Więc co robić?

— Zastrzelić! basta!

— Zastrzelić mego szimla! — Ojciec mój go kupił kiedym się narodził, koń ma dwadzieścia trzy roków jak ja, od lat ośmiu żyję sam... wszystko mnie odumarło ... ojciec, matka.. nie mam nikogo prócz niego na świecie — kreślił historię swego życia Leibe.

— Panie weterynarzu, może się coś da przecież zrobić. Ja dam wszystko, ja coś uezbierał z furmanki, ojciec coś zostawił, ja dam wszystko, niech mój szimel żyje.

— Nie można, stracony.

— Stracony?! — przeląkł się Leibe.

— Nie wolno takiego konia trzymać, zarazony, mogą się i inne konie rozchorować.

Leibemu serce zamarło.

— Kiedy się go strze... strze... strzelać będzie? — pytał ostrożnie, a łzy szły oj szły.

— No jutro już.

— Nie! nie! później... pojutrze, panie weterynarzu! — z rozpatrzą zawył Leibe.

— Ta dobrze... uspokójcie się — pojutrze, to lepiej dla zwierzęcia gdy skończy, niech będzie pojutrze, tak o czwartej popołudniu.

Leibe się ucieszył, przedłużył mu życie; więc całe dwa dni ze swoim szimlem przepędzi. Dwa ostatnie, ale dwa, dwa całe dni.

Kiedy do stajni Leibe wszedł, szimel począł nogą grzebać, jakby się cieszył z przybycia pana a jego smutne oczy nabrały wyrazu cichej radości. Leibe przystąpił do konia oparł głowę o jego szyję i rozpłakał się głośno...

— Co ja bez ciebie, kto mi zostanie, kto.... ?

— — — — —

Więc to dziś.

Noc całą Leibe nie spał, był w gorączce....

Rano zegnał się z szimlem.

Zwierzę jakby wszystko przeczuwało, miało oczy zaszcze smutkiem, a dziwna rzecz—szimel wyglądał tak jakby mu nic nie było, jakby był zdrow. Rżał, rżał tak tęskno, prawie że kwilił, ba począł skakać.

Zapomnę na chwilę—silił się Leibe. Począł go klepać, głaskać, mówić doń wołać, ale nie długo się tak bawił, bo dziś godziny jakby się zmówiły, pędziły szybko.... Poszli.

Na drodze spotykał rąco mknące konie, takie zdrowe, wesołe jak niedawno jeszcze jego szimel był; nie mógł się oglądnać, jego koń dziś inny, dużo inny... ledwie się włókł na nim... a tu ciągle zdrowe konie mknęły...

Staął przed bramą.

Więc tam miejsce stracenia. Nogi poczęły w kolanach się uginać, chłód uczuł w sercu.

Parobek wyszedł na spotkanie. Leibe wzbraśniał się konia oddać, siłą ich rozłączono.

— — — — —  
— Leibe, koń już nieboszczyk. Leibe! he! zasnęliście na progu — budził parobek — już wieczór, bramę musimy zamknąć, no! wstawajcie, czas do domu.

— Do domu? A... mój szimel...?



# MOLOCH.



**OSOBY :**

**Krasilników**

**Józef, syn jego**

**Anna, żona Józefa**

**Dziecko, obojga**

**Mendeloff, właściciel domu**

**Lekarz**

**Pierwszy z ludu**

**Drugi z ludu**

**Jakiś starzec**

**Dziewczyna**

**Brzydki chłopiec**

**Przechodni**

**Miejsce: miasto rosyjskie.**

**Czas: teraźniejszość.**



Biedna izba. Dogorywająca łójówka oblewa niepewnem światłem nagie ściany i nędzą karmione twarze; na stole karafka. Po prawej, coś niby ... łóżko, w którym śpi chore dziecko, przy niem Anna młoda kobieta, na twarzy przejściami losu poranej, ślady piękności. W fotelu z którego słoma i kłaki niedyskretnie wyzierają, siedzi K r a s i l n i k o w, na oczach błyszczą czarne szkła. W głębi kowadełko, na ścianie wiszą skrzypce.

K r a s i l n i k o w

Słońce już zaszło?

A n n a

Już.

Milczenie.

K r a s i l n i k o w

Zapomniałem jak słońce wygląda... jam dużo zapomniał, pozostał mi tylko obraz strasznych oczu umierającej i moje skrzypki. Po chwili. Co tu tak cicho?... Szukałaś pieniędzy jeszcze?

A n n a

drgnęła.

Tak....

K r a s i l n i k o w

No i...

A n n a

Niema

Po chwili.

Krasilnikow  
Prawda, żeś wszystko zgubiła?

Anna  
z westchnieniem.

Wszystko . . . Mój ojciec, czy nas Bóg nie karze, to jakaś klątwa na nas ciężyc musi, bo patrz, tak źle nam było, tak biedno i ciężko no i zlitował się los, Józef do domu coś przynosi, a ja to gubię... czy to nie kara? a może to klątwa tej topielnicy, pierwszej narzeczonej Józefa, czyniłam mu nieraz wyrzuty, nie powinien mnie być brać.

Krasilnikow

Już nawet we śnie nie przychodzi do nas, biedna dziewczyna; kiedy trupa z rzeki wydobyto był strasznie oszpecony. Matka jej dziko przeklęła Józefa — córko moja nie zastanawiaj się nad życiem, bo będziesz nędzarką... E, podaj mi moje łyzy.

Anna podaje mu stare sprószone skrzypce. Krasilnikow gra; z pod drżących palców płynie łzawa nuta, kładnie się w serca i rzuca posępność w izbie. Mendeleff wchodzi. Typ filistra, wstrętne wypasiona twarz, niegustownie ubrany na palcach lśnią pierścienie.

Mendeleff

He! jest tam kto . . . Kto tu tak płacze na skrzypcach Pieśń milknie. Krasilnikowo! a dobrze, że was zastaję, powiedźcie coś mężowi, to tak dalej

iść nie może. Ja dość długo czekałem, to już trzeci termin a tu nic i nic... ja nie mogę dłużej czekać ja... ja przestanę mieć serce... dość chyba czekałem, sami przyznacie co? teraz to mi wszystko jedno, ba choćbym miał te graty na ulicę wystawić... wystawię, ja nie mogę dłużej czekać, to trudno, poradźcie sobie jak możecie, przymila się do niej he! a wy byście mogli, moglibyście, z was ładna kobietka Krasilnikowo.

A n n a stoi nieruchoma.

M e n d e l e f f

Z was ładna kobietka, ja... ja mam dobre serce, mnie was żal; jabym wam chciał pomódz... kiedy wy uparta. Na ucho uamiętnie ja was kocham, Krasilnikowo przyjdźcie do mnie tylko, wszystko wam dam, Krasilnikowo.. .

A n n a stoi nieruchoma dwie gorące łzy oczom jej zbiegły.

M e n d e l e f f

Będzie wam dobrze.

A n n a jak wyżej.

M e n d e l e f f

No ja czekam, ja czekam... dziecko, mąż... ot ten stary, ja w domu, w domu. Zmysłowo na nią patrzy

A n n a

wybucho płaczem.

Czego pan odemnie chce, czego! zabij pan

mnie, męża, dziecko, wszystkich, czego pan chce,  
czego pan mnie katuje ?!

Mendeleff

przestraszony.

Nie, nie, nie, uspokujcie się, ja tylko tak mówię, ja tylko tak mówię, że ja w domu będę, może-  
byście czegoś potrzebowali ... nie nie, ja już nic,  
ja tylko tak mówię... ja nic, ja tylko... ja w domu,  
w domu. Patrząc na nią wychodzi.

Anna

z sercekrwawiącym szlochaniem.

Boże mój, Boże czemu ja tak zawiniła, że  
mnie tak karzesz, dlaczego? dlaczego!

Krasilnikow

który przez czas rozmowy z Mendeleffem drzemał, budzi się.

Śniła mi się dawna pieśń, śpiewałem ją Józe-  
fowi, gdy był dzieckiem — kto tu płakał?

Anna

wraca do równowagi.

Nikt ojciec, zdawało ci się.

Krasilnikow

jak echo.

Zdawało mi się po chwili idę się modlić.

Wychodzi przy pomocy kija, wraca ocierając ręce, zwrócony do  
wschodu, modli się.



Wchodzi Józef wysoki, barczysty mężczyzna, czarny zarost  
okala bladą twarz, z której melancholijnie oczy wyglądają.

A n n a  
nieśmiało.

Było coś dzisiaj?

J ó z e f  
głucho.

Nic.

Siada do stołu i patrzy w płomień świecy.

Cisza.

J ó z e f  
Zaczepta z tobą jeszcze Mendeleff?

A n n a  
Nie... właśnie tu był.

J ó z e f drgnął.

A n n a  
cicho.

Groził, że wyrzuci.

Józef nieporadnie milczy. Krasilnikow poczyna grać.  
Melodya żali się ich sercami. Małżonkowie we łzach zwalniają ból.

J ó z e f  
zdenerwowany.

Przestań ojciec grać. Rzuci tużurek, staje zajęty pracą  
nad kowadłem No co robi? Wskazuje na dziecko.

A n n a  
Od rana nie obudziło się.

J ó z e f

Dysze jeszcze?

A n n a

z oburzeniem.

No wiesz?!

J ó z e f

Co — no wiesz — czy myślisz, że to nie byłoby szczęście dla małości, gdyby poszło?

A n n a

Józef przestań... jak mówisz?

J ó z e f

gorzko.

No! ma żyć, by patrzeć jak się nędza do nas szczelinami wciska, patrzeć jak ojca niby psa pędzą, albo jak ten, ten — pan gospodarz — matkę jak ulicznicę napastuje, ta no co! Spokojnie. Widzisz Anno gdybym się tak Boga nie bał rozpłatałbym główkę, oj tak tę biedną główkę jeno z miłości, jeno z miłości dla biedactwa.

A n n a

Józef! Józef!

J ó z e f

Na nas się coś uwzięło, co robić; nie czynię ci wyrzutów, ale z temi pieniędzmi na przykład. Z nieznacznym uśmiechem Nic się nie gryź, bądź spo-

kojna, gdybyś ty ich nie zgubiła, jabym je zgubił, takie to już przeznaczenie, taki to już los, rób co chcesz; po chwili No, ale co się z tem maleństwem stać ma?...

Józef przy pracy śwista znaną melodyę z „łez“, Anna stoi zamyślona, nieporadna, a usta bezwiednie szepcą ostatnie słowa Mendeleffa „w domu“, „w domu“, staje przez chwilę jak wryta, ręką przechodzi czoło i wybiega. Scena ta niewidoczna dla Józefa.

Krasilnikow ze skrzypcami wychodzi.

Józef

Gdzie ojciec idzie?

Krasilnikow

Na podwórze, grać, ty się moich skrzypiec boisz; kiedy oczy od płaczu wyciekły i łez zabrakło, począłem niemi płakać. Przy ich łkaniu serce marzy, tylko marzyć, w marzeniu jasność, pogoda, w życiu jej nie ma. Wychodzi.

Józef

Ja już i marzyć nie umię, tak mnie w swe kleszcze nędzą ujęła. Jak ona nas tuli do siebie. Wzdycha E! uderza silnie młotem pss... jeszcze zbudzę tego żywego, małego trupa. Wpatruje się w spiące dziecko Biedne ty biedne... Jak się pięknie złote pukle ułożyły, jak się słodko przez sen uśmiecha, ty aniołku mały, ty moje wszystko... jak to rozkosznie śpi. Śpij, śpij, — uślepnij serce i nie patrz tu w koło!

Na ten twój uśmiech czeka czarne życie, nie długo się śmiać będziesz, zamrze ci uśmiech na głodem spalonych wargach, zamilknie radość, radością będą ci łyżki... Ruszyło się, wyciąga rączkę... Budzi się. Czeka jest tu coś, na masz jedz. Karmi je. No jeszcze łyżkę... tak ładnie... ładnie... tak wszystko... oglądasz się za — jeszcze — Ociera potajemnie łyżki. No a teraz spać znowu, tak grzecznie, tata obok czyni to, do siebie głód cię ukołysze. Nuci kołysankę.

Z a s ł o n a.

---

Obraz ten sam.

A n n a

wbiega blada jak trup.

Józef! Józef! Budzi go. Józef! znalazłam pieniądze.

J ó z e f

zerwany ze snu.

Co się stało.

A n n a

Znalazłam pieniądze.

J ó z e f  
spokojnie.

Nie może być.

A n n a

Tak, tak znalazłam...

J ó z e f

Wszystkie ?

Anna

Wszystkie, wszystkie!

Józef

Gdzie były?

Anna

Za skrzynią leżały.

Józef

Dziękować Bogu, no no no tylko się uspokój  
wyglądasz jak warjatka.

Anna

No tak, to przecie nasze wszystko.

Józef

Ta prawda, no no odpocznij, ledwo ci tchu  
starczy.

Anna

Z radości, z szczęścia, to przecie majątek nasz.

Józef

Usiądź, usiądź.

Anna

Na miasto, na miasto idę. Chce wybiedz.

Józef

Zostaw mi parę kopijek.

Anna

Nie mam drobnych.

Józef

Jako przyniosłem drobne.

Anna blednieje jeszcze bardziej, język się płacze, poprawia  
sobie włosy co w nieładzie są.

Józef

Anno ty czegoś niespokojna, przyniosłem drobne.

Anna

spazmatycznie.

To nasze, nasze, znalazłam, to nasze zgubione.

Józef

drżącym podniesionym głosem, a zimno.

Gdzie drobne? przyniosłem drobne.

Anna milczy.

Józef

z stopniową namiętnością.

Anno powiedz skąd masz pieniądze, mów...  
mów... bo się wścieknę... Anno mów...  
bo mnie... Anno możesz ty z krzykiem skradła!!

Anna jak wyżej.

Józef

Przekłeta skradłaś?!

A n n a

ze strasznym spokojem.

N...i...e...

J ó z e f

Przysięż, przysięż na naszą miłość i dziecko  
nasze....

A n n a

jak wyżej.

Na naszą miłość i dziecko przysięgam — nie  
skradłam.

J ó z e f

Więc jak to się stało jak jak jak? Rwie sobie włosy  
w rozpacz.

A n n a

jak wyżej.

Nie skradłam.

J ó z e f

Więc skąd, ja szaleję szaleję... Anno chwyta ją  
za rękę ty cała z lodu, zimna cała, patrz mi w oczy...

A n n a po daremnych usiłowaniach wzrok opuszcza.

J ó z e f

Aaa, wiem wiem wiem, byłaś u Mendeleffa,  
byłaś u Mendeleffa bada prawda co jak, co he-  
prawda? !!!



Anna chwycie się, przezywając walkę wewnętrzną, milczy jakby przyznała. Józef z rykiem rozpaczliwej boleści, porywa karafkę i ciska nią w Annę, ta się uchyla, karafka trafia w skroń chorego dziecka.

Anna

z serce rozdzierającym krzykiem.

Moje dziecko, dziecko moje, dziecko ratunku!!

Krzyk jej wabi lud z ulicy, gawieź uliczna wciska się w izbę. Anna wśród spazmatycznego śmiechu omdlewa. Józef stoi nieporuszony, błędnym wzrokiem spoziera przed siebie.

Pierwszy z ludu

Po lekarza, po lekarza u skrzyżowaniu ulicy widziałem go!

Drugi z ludu

Dziecko nie żyje....

Jakiś starzec

Na łonie dziecka, matka nie żywa.

Dziewczyna

Wody, prędzej wody.

Lekarz

wbiega.

Gdzie to?

## Pierwszy z ludu

Tu, tu.

Tłum ciśnie się około lekarza, pomruki i wyczekiwania.

### L e k a r z

bada wpierw matkę.

Wynieść ją na powietrze, omdlała. Po jakimś czasie  
Dziecko już nie żyje.... Tamtą ratować.

A n n ę wnoszą, za nią wychodzą inni, wrzawa ginie w oddali,  
jakiś zidyociały, brzydki chłopec ostał się, z głupkowatym  
uśmiechem śledzi Józefa... sposepniał... zgasił świecę i wśród  
chichotów wybiega. J ó z e f sam w izbie, stoi jak wyty, wpatruje się  
w zastygły trup dziecka. Dzikie stłumione łkanie rozrywa mu  
piersi, zdejmuje rzemień z bioder i rozgląda się za hakiem gdzieby  
się obwiesić mógł. Z podwórza gdzie wyszedł K r a s i l n i k o w  
wpływa melodya, której wtóruje drżący śpiew.

Z a s ł o n a p o w o l i s p a d a .

BUDA.



OSOBY :

Matka	}	członkowie Związku.
Marek, jej syn		
Funke		
Rosen		
Mohn		
Lotke		
Stein, przyjaciel Marka		
Robotnik		
Przechodnie		



Skromny pokój, na ścianach skrzyżowane szable „kapa“ i inne odznaki wskazują na pokój „bursza“, po prawej stronie biurko, na niem lampa świecąca. M a r e k siedzi przy biurku, pisze, znać na nim zdenerwowanie, po jakimś czasie wchodzi

M a t k a

Ty jeszcze siedzisz, taż to nie długo dzień.

M a r e k

Mam jeszcze drobnostkę skończyć, chcę by jutro poszło do druku.

M a t k a

Szkoda nocy...

M a r e k.

Dziś i tak muszę o piątej wyjść. Emil odjeżdża, przyjdą po mnie, musimy go odprowadzić.

M a t k a

Ja bym cię przecie zbudziła.

M a r e k

zdenerwowany.

Tak, tak, ty byś zbudziła, ale chciałbym skończyć pracę!

M a t k a.

Już idę... ja przeszkadzam Odchodzi.

Marek.

Poczekaj matko... Ty się gniewasz, co? ja szorstki, prawda, ale widzisz...

Matka

wraca.

Gdzie tam, ja wiem, że ja ciebie nie bawię, ja prosta kobieta, nie pokazuję się, gdy twoi koledzy przychodzą, ja taka nieubrana, ich matki i inne, ja wiem wiem.

Marek.

Oj inne, bo u nich niema tego serca matko, co u ciebie. Ciągłe się męczysz w tym twoim sklepiku, rano wstajesz; tylem razy ci mówił — rzuć to, przecież dochody moje...

Matka.

Nie, nie, pozwól matce pracować, skoro może nie chcę, byś ty się...

Marek

Przepracowywał dla matki. Ty biedna; ale syn ciebie kocha, kocha bardzo, mimo, że czasem szorstki... Popieszcz mnie trochę, tak dawno jakies mnie całowała... smutno nie pamiętam kiedy...

Matka

Matka pamięta, było to wtedy, kiedyś wrócił z pojedynku z obwiązaną głową.



M a r e k

westchnął.

Kiedym wrócił.

M a t k a

Aj, moj Boże, myślałam, że trupem padnę,  
kiedym ujrzała twoją bladą twarz....

M a r e k

Więc syna twego kochasz ?

M a t k a

Kogoż mam więcej na świecie po chwili. Mnie  
już czas, zima moja idzie, oj idzie.

M a r e k

A gdybym tak ja naprzód poszedł...

M a t k a

A gdzież by Pan Bóg był. Ty młody, przed  
tobą przyszłość, sława, com ja bez ciebie; gdzież  
by Pan Bóg był....

M a r e k

A gdyby ?

M a t k a

Co ci do głowy przyszło.

M a r e k

A gdyby !

Matka

Co ci jest, co ci synu? główka twoja gorąca.

Marek

Śmiej się z tego, matko; tylko wiesz czasem mnie taka brzydka myśl nachodzi... pieści ją. Co ty biedna bezemnie poczniesz, siwuszko ty moja. Całuje ją gorąco.

Matka

Przestań, patrz matka płacze.. Ja ciebie — ty moje wszystko — w snach widuję. Ty jakiś uczony, najpiękniejsze dziewczęta ciebie chcą, z najbogatszych domów, ale to wszystko mało dla ciebie. Ja tymi snami żyję.... Cóżes się tak zadumał?

Marek

A przecież szkoda by było tak młodo umrzeć.

Matka

Kto gada o śmierci...

Marek

Kto żyje... No, chcę być sam.

Matka

Już idę.

Marek

Bądź zdrowa, bądź zdrowa mateczko, ha, ha, śmieję się razem z tobą, no śmieję się, bo chcę się z tobą pożegnać, to śmieszne, nie? Ale... a nuż niewrócę, nuż przepadnę gdzieś... bądź więc zdrowa i wybaczyć synowi tych szorstkich słów, co w roztargnieniu mówiłem... no śmieję się, no!

Matka

Filut z ciebie, zawsze ten sam smutny, choć wesoły.... Słuchaj ty moja duszo, nie gniewaj się, chcę coś powiedzieć, czego nie słuchasz chętnie i chmurzysz się zaraz.

Marek

Mów...

Matka

— Nie chodź na te wasze knajpy, późno wracasz, szkoda zdrowia, lepiej....

Marek

Chciałbym skończyć pracę.

Matka

Już idę. Odchodzi.

Marek sam, chowa twarz w dłoń, po chwili idzie do okna, otwiera je, cicha zimowa noc wpływa oknem. Z ulicy idzie gorobowa pieśń. „Die bange Nacht“, później sygnał, Marek odpowiada.... jakieś krzyki.

M a r e k  
przez okno.

Ciszej pobudźcie ludzi.

R o s e n  
na ulicy.

Funke się znowu spił. Pomóż mi go przerzucić, nie chcę dzwonić

F u n k e  
z ulicy

Sam wliżę gramoli się No wszedłem, co ? mówi, żem się spił, byłem ja kiedyś pijany, co ? no mów! nie, nie, seryo mów, co ?

M a r e k  
Broń Boże, nigdy!

F u n k e  
Więc widzisz; wprawdzie lubię wino, tak lubię.. Mam przy sobie nawet flaszkę jego..

R o s e n  
Uspokój się, tam matka śpi.

F u n k e  
Przecież jej nie budzę, chyba jej nie budzę, jesteś niesmaczny. Po chwili do Marka. Kiedy stajesz?

M a r e k

Niedługo, o szóstej... koło Jasnego Krzyża,  
piętnaście minut stąd.

F u n k e

Pukanina, pfuj, nie lubię jej,?omal że mnie pół  
szczęki nie kosztowała, złoto w gębie ocaliło zęby,  
pfuj, nieprzyjemna rzecz. Ten twój przeciwnik tego  
strzela, o tego...

M a r e k

Wiem...

R o s e n

do Funkego.

Zamilcz... głośno. Zagramy, dobrze ? gdzie karty ?

M a r e k

Obok ciebie na biurku.

F u n k e

Twoja sprawa to coś antysemitckiego ?

M a r e k

Tak.

R o s e n

Stary! wino skwaśnieje na stronie przestań do  
ficha!

F u n k e

Prawda! nalewa.

Wszyscy trzej w milczeniu grają. Od czasu do czasu przypijają do siebie. Funke mruży burszowe pieśni, uwaga innych, jakby gdzieś daleko.

Funke

Więc ona mnie kocha, wolałbym żeby teraz nie kochała. No prosit, twoje powodzenie.

Rosen i Marek piją.

Gra trwa dalej. Funke przegrywa — skończyli.

Funke

Ja później zapłacę, bo ja dziś y... y...

Rosen

wygrany.

Dobrze, dobrze.

Wstają od gry, Marek patrzy na zegar. Rosen wygląda oknem, po chwili siadają znowu. Nieznośne milczenie. Stein, Mohn i Lotke wchodzą, ten ostatni nosi kasetę z pistoletami, wzajemne powitania przez prosit

Mohn

Już czas, chcemy być wcześniej na miejscu, jest jeszcze coś do omówienia.. Kellerman pojechał po lekarza i tam się z nim stawi.

Marek zbiera się nasadza kapę i kuler.

Cisza.

Marek

A więc bądźcie zdrowi, pa... resztę list powie... prawda, moja matka... pamiętajcie o biednej... no

jeszcze raz servus... nie lubię sentymentów, pa...  
prosit..

Funke, Rosen i Stein żegnają go prosit, powodzenia,  
szczęść Boże!

Marek, Moha i Lotke po wzajemnem prosit odchodzą.

Pauza.

Funke

Pfuj, pukanina.

Stein

nieśmiało.

Nie powinien stawać.

Rosen

w zamyśleniu.

Wykluczone.

Stein

A ta staruszka? Brak odpowiedzi. Wasz ten ko-  
deks...

Rosen

zrazu flegmatycznie.

Jestem głęboko przekonany o słuszności na-  
szego stanowiska. Pojedynek w życiu Żyda jest  
epokowym zjawiskiem, widzę w tem szkołę nowego  
pokolenia, uznaję go, choć wiem że to..

Stein

przerywa.

Barbarzyństwo.

Rosen

Choćby... A przecież ma on swój urok, imponuje mimo uprzedzeń, to przecie odwaga z obnażoną piersią iść tak na vis a vis szabli czy <sup>o</sup>łufy, niezaprzeczona odwaga. Każdy naród przechodził owe czasy bohaterowania, turniejów; zwyciężał czy polegał, walczył, przeszedł wybryki nocy średnio-więcza, my nie. Otoż podejmujemy ową naleciałość. Dziecko zanim dojrzeje przechodzi choroby.. i naród je przejść musi; drogą rewolucyi zdobywamy to, czego nam dzieje nie dały.

Funke

Brawo, tak...

Stein

Knajpy.

Rosen

I okrzyczane knajpy mają swe usprawiedliwienie. Nie umieliśmy się śmiać, nie wolno się nam było weselić, szelest nas płoszył, bito w dzwony nam truchlało serce, lada krzyk trwożył, czy to nie krzyk pogromów. Nie było szczerzego śmiechu,



w naszym wyrazie — gdzieś w kącie czyhał smutek ;  
otóż na naszych osławionych knajpach sztucznie  
budzimy wesołość ; z harfy do płaczu nastrojonej,  
wołamy pieśń życia, wesela.

F u n k e

Brawo, brawo, zapalasz się.

S t e i n

To wszystko bardzo piękne ale dziś chyba  
sami czujecie w waszem stanowisku jakiś zgrzyt ;  
nie nie! nie! stokroć nie, to nie powinno było być,  
jest taka... taka połowiczność w tem wszystkim.

R o s e n

A ja powiadam, anomalia naszego narodu.

Cisza.

F u n k e

Zobaczycie, że cały wróci.

S t e i n

Oby... bo ja mam przeczucie... no br... zimno  
mi po chwili.. Mówią, że tamten strzelec od dziecka  
zaciekle bestya, sprzysiągł się na Marka.

F u n k e

Musiał stawać i koniec.

S t e i n

Otóż właśnie, że musiał..

F u n k e

Ale „kwarty“ się naszej boją co... jak nas nie mogą pod lufę dostać, to przepraszają, żałują, zasady chrześcijańskie wzbraniają przelewu krwi, ale kurek pociągnąc to odwaga... tfu bohaterzy!

M a t k a

wchodzi.

Kiedy mój syn wróci?

F u n k e

Y.. y.. za godzinę przypuszczam.

M a t k a

Bo widzi pan, ja czegoś niespokojna ..

F u n k e

Niema powodu, czy pierwszy raz wychodzi wcześniej,—odprowadza znajomego... nic nie jest z całą pewnością, nic na pewno.

M a t k a

Nic na pewno wychodzi.

S t e i n

Serce mi kraje ta staruszka

Cicho, wszyscy jacyś nieporadni, każdy czemś innem zajęty...  
bezmysłne zajęcie.

## Rosen

patrzy na zegar.

Za kwadrans przechadza się po pokoju, znalazł listy na biurku. Trzy listy, do Budy — więc można otworzyć — ten do niej a ten do matki. Otwiera list pierwszy i czyta.

Droga Budo !

Kiedy te słowa czytacie, może kula we mnie trafia... Tak się stać musiało, tak los chciał — —  
Przychodzi mi się rozstać teraz z Wami. Smutne każde rozstanie ... to najsmutniejsze ... ręka moja drży... słowa mi się nie kleją, nie mogę pisać...  
Kończę prośbą, prośbą kończę... zajmijcie się tą nieszczęśliwą staruszką... ostatnie życzenie... Jak ja Wam to odpłacę ? Ha mój Boże, zostanę Waszym dłużnikiem. . Trochę przykro tak młodo zejść..

Zegna Was i ściska

Wasz Marek.

P S. W biurku którego kluczyk leży...

M o h n

wlatuje blady, słowa wymówić nie może.

F u n k e

Co ? już ?

Reszta się zrywa.

M o h n

Kwadrans wcześniej zaczęli...

R o s e n

No i?... mów truchleję.

M o h n

Padł.

S t e i n

Żyje?

M o h n

Kula przeszła okiem, na wylot przeszła mózg,  
padł, ani się nie ruszył, na miejscu skonał.

S t e i n

Aa!

M o h n

Chcieli dystans zmniejszyć... chcieli, by Marek  
tego żądał.

F u n k e

No?

M o h n

Marek nie chciał...

Matka

wchodzi nieśmiało

Przepraszam, kiedy mój syn wróci?

Funkę

zakłopotany

Wkrótce...

Matka

Bo ja niespokojna, on...

Funkę

szorstko.

Ależ mamy coś załatwić.

Matka

Przepraszam, przeszkadzam, już idę wychodzi.

Cisza.

Stein

To pierwszy przypadek u was?

Rosen

Pierwszy...

Stein

Mój Marek, ta biedna płacze.

— 67 —

Rosen

po chwili

Stary! Co zrobić teraz? Stary!

Funke

O co pytasz?

Rosen

Co zrobić teraz?

Funke

grobowo.

Wypadek zgłosić u władzy zapala fajkę.

Na dworze świt, syrena pobliskiej fabryki huczy i woła . . .  
robotnicy się schodzą

Głos za sceną.

He, Ester, co to sklepik zamknięty? puka  
he Ester! otwórzcie, o dziś babcia zasnęła.

Na ulicach poczyna się ruch, na świecie życie.

Zasłona.

# SIOSTRY.





OSOBY :

Mendel Stern  
Nieznajomy  
Pierwszy podróżny  
Drugi podróżny  
Przeor  
Braciszek  
Gracz  
Opój  
Zawadyka  
Pasażerowie  
Służba.



Dworzec stacy galicyjskiej. Wieczór. Słabe światło migoce przez brudne szkła latarni. Na ławkach drzemią tu i ówdzie w rozmaitych pozycjach to siedząc, to leżąc pasażerowie. Przez scenę przechodzą spiesznym krokiem podróżni, za nimi posługacze z bagażami. Gracz, opój i zawadyaka zabawiają się podpijając. Nieznajomy czyta z zajęciem pod latarnią jakiś dziennik. Dychawiczne sapanie lokomotywy i gwizd jej tłumi rozmowę podróżnych.

Pierwszy podróżny

Nie! to nie do uwierzenia...

Drugi podróżny

A przecież tak jest...

Pierwszy podróżny

Ludzi tak jak worki się kradnie.

Drugi podróżny

Gorzej, bo worek możecie pod kluczem trzymać, człowieka nie.

Pierwszy podróżny

Tak, tak, ładnie bezpieczni jesteśmy...

## Drugi podróżny

To samo przecie było przed trzema laty z Boruchem. Pewnego pięknego dnia wydalila się córka jego z domu, no i nie wróciła — przepadła. Jakies niewyraźne poczty, widzieli ją w jakimś towarzystwie, to była ona i nie ona, rozmaicie się mówiło, wreszcie dowiaduje się ojciec, że u sióstr przebywa. Co ojciec wyrabiał, możecie sobie przedstawić. Chodził, chodził wszędzie, gdzie go tylko posyłano, był we Wiedniu, był nawet u samego cesarza. Coś mówiono, że wróci, niech się tylko uspokoi, poczęto coś obiecywać... wróci... no i tak ciągle, ciągle a córki do dziś dnia niema... Wyobraźcie sobie życie ojca.

## Pierwszy podróżny

No i nic nie można zrobić, przecież to jest straszne. Ja myślę...

## Portyer

wchodzi i dzwoni.

Do Krakowa, Trzebini, Katowic 15 minut odjazd. Nach Krakau, Trzebinia, Katowic, 15 Minuten Abfahrt.

Pierwszy i drugi podróżny pośpiesznie wychodzą. Spiący się zrywają, chwytają bagaże i wychodzą. Trójka coraz weselsza. Nieznajomy czyta dalej gazetę. Mendel Stern wchodzi z workiem na plecach. Postać nikła, skulona, twarz cierpiąca, schorzała, oczy palą węglami. Przy wejściu Mendla z awaryjka go trąca. Mendel milcząco z wyrzutem spoglądnał na grupkę. Usiadł przy stole, wyjął nóż i chleb,

nieje go, tylko bezmyślnie przed się spojiera. Trójka się dalej głośno i wesoło bawi. Zawadyaka rzuca niedopałki w stronę Mendla.

Zawadyaka

No, łap!...

Opój

Żleś rzucił, musisz trafić, inaczej nie wie, czy jego myślisz, nie patrzy nawet na nas.

Zawadyaka

przystępuje do Mendla.

Czego nie jesz, chleb leży na stole... twój chleb przecie, jedz! no! Uderza go w plecy.

Mendel

zrywa się gwałtownie,

Idź ty psie, ty! ty! ja cię rozszarpie, czego chcesz odemnie? czego? ty psie! znam cię? com ci zrobił? czego chcesz! Wybuca spazmatycznie. Ty, ty... czego chcesz? mało mam... ty psie ty!

Nieznamomy

Czego chcecie od biedaka? co wam zrobił, nie patrzy nawet na was.

Zawadyaka

Ta nic mu się nie stało, ta cóż? pożartować przecie wolno, jak się rozszczękał?

## O p ó j

Ta my z dobrego serca...

## Nieznajomy

Zawołam żandarma, jak go nie zostawicie w spokoju; widzicie przecie, że to człowiek chory.

T r ó j k a się zwolna ulatnia. Po chwili N i e z n a j o m y do Mendla

Wy skąd jesteście ?

## M e n d e l

ciągle jeszcze szlocha.

Wolałbym już wogóle nie być; dobrze ze mną pokierował Pan Bóg, dobrze mnie doświadczył; szczęśliwy ja ojciec, oj szczęśliwy. Poczyna znowu płakać

## Nieznajomy

No powiedzcie, może wam będę mógł w jakiś sposób pomóc ?

## M e n d e l

Mnie już nikt nie pomoże, ja już wszystkiego próbowałem, tu niema ratunku, wszystko przepadło.

## Nieznajomy

Jeżeli możecie powiedzieć o co idzie, to powiedzcie, a nuż wam będzie można jakoś choćby pomóc ?

M e n d e l

Wy wiecie sami pewno, to każdy wie. Ja jestem ten szczęśliwy ojciec, któremu córkę skradziono.

N i e z n a j o m y

To wy? Właśnie czytałem.. no, no? więc cóż słyhać? bo w gazecie tak niewyraźnie...

M e n d e l

Dobrze słyhać... Sprawa już się ciągnie cztery tygodnie, no i nic i nic. Raz mi się mówi, że jej niema u sióstr; drugi raz że jest i że jest chora, że jej widzieć nie można; to znowu że umarła; ale ja wiem, że ona jest tam. Ona tam woła i krzyczy... ona swój dom kocha, taka przywiązana, a ją tam więżą. I jest Bóg...

N i e z n a j o m y

Cóż wy dotychczas zrobili?

M e n d e l

Wszystko... Byłem u starosty... obiecywał, że mi pomoże... dobry człowiek, posłał mnie tam z żandarem... nie chcieli mnie wpuścić, począłem krzyczeć, chciałem się przemocą dostać do klasztoru, bo ona tam jest.. zdawało mi się, że słyshałem jej głos... nie, nie zdawało mi się... ja słyshałem całkiem wyraźnie, całkiem wyraźnie słyshałem jej głos—ja go teraz jeszcze słyshę.

Nieznajomy

Oddaliście, jakim czytał, sprawę adwokatowi.

M e n d e l

Tak, adwokatowi, a on znowu posłom, ale to nie pomoże, ja wiem, tu nic nie pomoże, z nimi inaczej trzeba... Gdzie ja już nie był, włączyłem się we Wiedniu po wszystkich urzędach, byłem u ministra, trzeba więcej, miałem być u Najjaśniejszego Pana... nie poszedłem, ja zaraz uczułem, że tu już nikt nie pomoże, że to już całkiem przepadła rzecz. Powiedzieli mi, że za murami... kończy się moje prawo, że w tamte rzeczy mieszać mi się nie wolno. W murach klasztoru — jak oni mówią — prawo moje ustaje. Zamilkł.

Nieznajomy

No, no, nie trzeba tracić nadziei, wszak wierzyć w Boga.

M e n d e l

Hm, mam wierzyć?... U mnie w domu nie całkiem dobrze, bardzo nie dobrze i mam wierzyć? Miałem troje dzieci... jeden syn uciekł przed woj-  
skiem.. gdzie on jest? kto on jest?... nie wiem, już kilkanaście lat... jak uciekł. Może ten, co mnie wczoraj zelżył, co jutro zelży lub ten, co kiedyś mnie



obił, czy obje, może to on. Bolało to, bolało, bo tak stracić syna, to na równi ze śmiercią.—Drugi syn to biedak ogłupiały... niemowa—mówią, że to szczęście w domu, Bóg mnie tem szczęściem nie oszczędził.. osmolony cały dzień na przypiecku leży. Przypatruję się temu stworzeniu, co z ludźmi jeno postać ma wspólną, i myślę — to moje dziecko, to mój syn — Dorasta już córka piękna, piękna jak kwiat w słońcu, moje wszystko, moje sny, nadzieja, wszystko, a tu przychodzą te dyabły w ich czarne habity zamknięte i skradają mi ją i jedno wiem tylko, tak mocno wiem, że przepadła, tu już nikt nie pomoże.

Nieznajomy

Jak można tak wątpić?

Mendel

Ja mogę tak wątpić, to com ja widział, to co ja przeszedł, przecierpiał, to wszystko każe mi zwątpić zupełnie, zupełnie nadzieję porzucić.

Nieznajomy

Tak nie powinien Żyd mówić, zawsze mamy nadzieję, ot co nam zostało.

Mendel

z niedowierzaniem.

Wy Żyd?

Nieznajomy

Tak.

M e n d e l

Wy także Żyd, więc wam powiem. Urywa.

Nieznajomy

No!

M e n d e l

Moje prawo się tam kończy, ale... lepiej nie... ale czego chcą odemnie? czego? dlaczego na mnie wszystko idzie? czego się na mnie wszystkie góry nieszczęść wałą? czemu, czemu? Histerycznie te psy w habitach, te... No ale urywa Dziś tędy przeor przejedzie.

Nieznajomy

Będziecie z nim mówić? Spróbujcie przedstawić mu sytuację.

M e n d e l

dzwoni zębami zapatrzony.

Jużem przedstawił.

Nieznajomy

No jeszcze raz, przecież to także człowiek, ma ludzkie serce.

M e n d e l

wciąż zębami dzwoni.

Jużem przedstawił, jużem wszystko zrobił...  
kiedym się przemocą chciał dostać do środka, do  
klasztoru, kazał mnie zamknąć... jużem wszystko  
zrobił, za dużo trochę, za dużo na jednego, trochę  
za dużo.

N i e z n a j o m y

patrzy na zegar.

No spieszę się, zagadałem się z wami, pociąg  
mi ucieknie, ale obiecuję wam się tą sprawą pilnie  
zająć; co w mojej mocy leży, to zrobię; tu mój bi-  
let, gdybyście się coś dowiedzieli lub wogóle mnie  
potrzebowali, tu bilet wręcza mu go.

M e n d e l

Dziękuję, już nie będzie trzeba...

N i e z n a j o m y

No, no, tylko nadziei nie tracić. Bądźcie zdro-  
wi. Żegnają się.

M e n d e l został... gdzieś tu i ówdzie po kątach drzemią pod-  
różni. Słabe światło migoce przez brudne szkła latarni, M e n d e l  
mechanicznie kraje chleb wpatrzony bezmyślnie w nóż. Scenę prze-  
chodzą powolnym krokiem przeor i braci szek — M e n d e l

zbladł, podniósł się z miejsca.. siadł.. stać nie mógł.. podnosi się znowu i z przymrużonemi oczyma, ruchem lunatycznym podchodzi do przeora z tyłu. W poczekalni dość ciemno, — twarzy Mendla nie widać — już jest blisko... nagle zachwiał się — padł na ziemię...

### Przeor

Co to ? człowiek zemdłał.

### Braciszek

Żyd — co widzę! nóż w ręku Żyda!...

### Portyer

wchodzi i dzwoi.

Do Krakowa. Trzebini, Katowic 5 minut odjazd. — Nach Krakau, Trzebinia, Katowic, 5 Minuten Abfahrt.

Zasłona szybko spada.

INSTYTUT  
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63















F  
22028